

Wywiad z dr inż. Andrzejem Urbańskim „Komputery są dobre”



dr inż. Andrzej Urbański – wykładowca na Wydziale Informatyki Politechniki Poznańskiej, a także autor edukacyjnych książek dla dzieci z zakresu nauk ścisłych. Jeden z twórców postaci Alana Bity – bohatera edukacyjnej serii dla najmłodszych oraz inicjator projektów, tj. budowanie robotów z wychowankami Domu Dziecka nr 2 w Poznaniu.

Alicja Nochowicz: - Dlaczego zdecydował się Pan na wybór V LO, a nie np. technikum czy też innej szkoły o profilu matematyczno-fizycznym?

Andrzej Urbański: - Jeszcze na długo przed końcem szkoły podstawowej często odwiedzałem moje trzy kuzynki studiujące matematykę, fizykę i chemię, u których to bardzo mi imponował akademicki klimat ich pokoju. To zdecydowało o tym, że byłem przekonany do studiów wyższych, a wtedy było to pięć razy mniej popularne niż obecnie. Moja wychowawczyni namawiała mnie, abym wybrał technikum, ale tata zdecydował o liceum, bo jak chcę studiować to dodatkowy rok szkoły byłby tylko stratą. Wahałem się, czy nie iść do „ścislej Ósemki”, ale ostatecznie wygrała „Piątka”, do której miałem znacznie bliżej. Miło wspominać czas spędzony w tej szkole i uważam, że był to dobry wybór. W sekretariacie mojej podstawówki pracowała mama, co kępowało mnie w relacjach z rówieśnikami, więc w nowej szkole mi ulżyło. Ale było trudniej, bo kilkakrotnie z powodu języków obcych czy geografii groziły mi okresowe oceny niedostateczne.

Jak wspomina Pan Doktor lata szkolne w V Liceum?

Szczególnie utkwiała mi w pamięci nasza powszechna miłość do muzyki rockowej. Rodziły się wtedy jego ciężkie odmiany reprezentowane przez „Deep Purple”, „Black Sabbath”, „Ten Years After” czy „Led Zeppelin”. Nawet bardziej lubiliśmy „Pink Floyd”, „Santana”, „Emerson, Lake and Palmer”, „Procol Harum”, „Wishbone Ash”, „Budgie”, „Yes”. Wiele z nich słyszymy po dziś dzień jako kultowe, ale to była nasza młoda muzyka, chociaż rzadko kogo mogliśmy usłyszeć na żywo. Wyjątkiem były bardzo cenione zespoły węgierskie „Locomotiv GT” i „Omega”. Wspólnie słuchaliśmy i tańczyliśmy na zabawach z typowych okazji w szkole i okolicznych świetlicach. Większość osób nagrywała z radia na magnetofonach szpulowych, a tylko jedna czy dwie miały oryginalne płyty. Ja początkowo nie miałem ani magnetofonu, ani gramofonu, ale słuchałem radia i miałem zeszyt z tytułami i nazwiskami wykonawców, a kiedyś dostałem katalog płytowy z Berlina Zachodniego, w którym wreszcie mogłem zobaczyć, jak wyglądają moi ulubieńcy. Z kolegami emocjonowaliśmy się takimi lekturami, jak czasopisma „Młody technik”, „Horyzonty techniki” oraz „Radioelektronik”, książkami o elektronice, a zwłaszcza zestawach stereofonicznych hi-fi. Odwiedzaliśmy również Targi Poznańskie, na których szczególnie interesowały nas stoiska z elektroniką powszechnego użytku i techniką obliczeniową do biur. Firma WANG oferowała kalkulatory, w tym programowalne. Folderzy firmy IBM o komputerach serii 360 i 370 przydały się potem na studiach.. Natomiast wycieczki szkolne były oczywiście tylko krajowe. Pewnego razu poszliśmy do zakładu elektronicznej techniki obliczeniowej mieszczącego się po dziś dzień przy Moście Teatralnym, gdzie pokazywano nam rosyjski komputer, który dostała nasza szkoła, gdy już poszedłem na studia, bo ZETO chciało się pozbyć „złomu”. Moja klasa „lubiła” wagarować i robiono różne przekręty ze zwolnieniami, do tego stopnia, że w końcu zmieniono nam wychowawcę.

Okres nauki w szkole był tym, w którym rozbudziły się w Panu pasje?

Zdecydowanie! Zaczęło się w pierwszej klasie szkoły podstawowej, kiedy to wybrałem się do nabitej wysokimi drabami szkolnej biblioteki. Złąłem się, ale wyłowiła mnie uśmiechnięta bibliotekarka, obdarowując cienką książeczką oprawioną w szary papier. Była o przygodach chłopca żyjącego w ruinach zaraz po wojnie. Przez miesiąc czytałem kawałek po kawałku, ale chyba poczułem namiastkę przyjemności, bo od razu sięgnąłem po kolejną lekturę. Ani się obejrzałem, jak pokochałem czytanie i nie mogłem przeżyć ani dnia bez książki. Moja pasja do nauk ścisłych zrodziła się już dwa lata później, kiedy w domowej biblioteczce znalazłem przedwojenny podręcznik od fizyki. Pamiętam zadanie: „Jak zrobić peryskop z luster?”. Zacząłem kombinować, by całą rurę peryskopu pokryć lustrami, co było błędnym pomysłem, ale rozwiązanie z podręcznika tak mi się spodobało, że nie odebrałem tego jako porażki i dalej wiedzę fizyczną chłonałem z ogromnym zapałem. Tata był radiotechnikiem i miał bogatą bibliotekę książek, a zwłaszcza czasopism technicznych, której przetrząsanie było jednym z moich ulubionych zajęć. Tak nauczyłem się czytać oraz rozumieć schematy ideowe urządzeń radiotechnicznych. Opisy konstruowania wzmacniacza, odbiornika radiowego czy magnetofonu to były dla mnie namiastki ich samodzielnej budowy i przyjemności posiadania. Dopiero w liceum przy wsparciu kolegi udało mi się kilka rzeczywiście zbudować.

Nie przerażały Pana na początku skomplikowane obliczenia matematyczne czy zjawiska fizyczne?

Muszę przyznać, że najbardziej w mojej pamięci utkwiły mi szkolne wpadki właśnie związane z matematyką, innych specjalnie nie pamiętam, czy też może nie chcę pamiętać (śmiech). W pierwszej klasie w czasie pisania sprawdzianu z matematyki stwierdziłem, że źle obliczyłem zadanie i chciałem to koniecznie wydrapać stalówką, która jednak, ku mojej rozpaczy, zrobiła dziurę w kartce. Zanim ochłonąłem, odezwał się dzwonek i oddałem sprawdzian z nierozwiązanymi zadaniami. Dostałem dwóję, czyli dzisiejszą jedynkę. W trzeciej klasie, kiedy ujrzałem wycelowany w siebie palec i usłyszałem: „Ile jest 4 razy 9?”, ogarnęło mnie przerażenie, a w głowie poczułem pustkę. Zanim otworzyłem usta, znowu dostałem dwóję.

Jakie zdarzenie/historia zapadło Panu w pamięć z czasów spędzonych w szkole średniej?

Najbardziej zapadł mi w pamięć niepewny początek w tej szkole. Mianowicie rok, gdy zaczynałem liceum był pierwszym, w którym nie wszyscy musieli zdawać egzaminy wstępne, jeśli mieli wystarczająco dobre oceny ze świadectwa końcowego z podstawówki. Okazało się, że o miejsce w „Piątce” ubiegało się dwóch Andrzejów Urbańskich i jeden z nich był na liście przyjętych do szkoły, a drugi musiał zdać dodatkowy egzamin, a jako że nie było wtedy numerów PESEL, gdy zobaczyłem listę, zmroziło mnie i czym prędzej pobiegłem do sekretariatu. Jak się później okazało, to ja byłem tym szczęściarzem, który nie musiał podchodzić do dodatkowych testów. Z klasy maturalnej natomiast pamiętam szkolne przygotowania do centralnych dożynek w Poznaniu. To była zawsze huczna uroczystość w socjalistycznym państwie dumnie obnoszącym się z sojuszem robotniczo-chłopskim, a tak naprawdę okazja do oddawania czci partyjnym kacykom, którzy de facto sprawowali władzę w Polsce na mocy przeforsowanej przez siebie konstytucji. Przez wiele dni zamiast na lekcje chodziliśmy na pobliski stadion, żeby robić animacje kolorowymi gadżetami, które dzisiaj realizują już chyba tylko mieszkańcy Korei Północnej. Kilku kolegów załatwiło sobie na ten czas zwolnienia lekarskie i spędzało go za kierownicami samochodów z instruktorami przygotowującymi ich do egzaminu na prawo jazdy. Kiedy dowiedział się o tym „przekręcie” bardzo „partyjny” dyrektor, ogłosił, że skoro tak bardzo spodobała się im motoryzacja to niech idą do technikum samochodowego, on im załatwi tam miejsca. Chłopcy zostali więc wydaleny ze szkoły. Po latach dowiedziałem się o tym najbliższym, że skończył technikum ekonomiczne i wyjechał do USA, gdzie służył w marynarce wojennej.

Będąc uczniem, myślał Pan Doktor o uczeniu innych ludzi w przyszłości?

Nigdy nie myślałem o tym, że mógłbym być nauczycielem. Interesowała mnie wiedza ścisła i technika, bez większych planów. Jak w trzeciej podstawówki czytałem na przerwach podręcznik od fizyki to na pewno tylko dlatego, że sprawiało mi to przyjemność. W liceum pchała mnie też chęć dostania się na studia, by oddać się bez reszty swoim pasjom. Dopiero na politechnice pojawiły się plany związane z tym, jak mógłbym zarabiać na życie, ale szybko zaproponowano mi pozostanie na uczelni. Zacząłem uczyć studentów jeszcze zanim formalnie mnie zatrudniono, ale już miesiąc później wylądowałem na rok w wojsku, co było dla mnie bardzo przykrym doświadczeniem.

Nie rozważał Pan nigdy pójścia w kierunku humanistycznym?

Pod koniec podstawówki zadeklarowałem na łonie rodziny, że proza, a zwłaszcza wiersze mnie nie interesują. Musiało minąć prawie ćwierć wieku, abym nie tylko zaczął czytać, ale nawet tworzyć takie utwory. Zaczęło się pod pretekstem przekazywania wiedzy informatycznej. Tak zrodził się Alan Bit, bohater książeczek, animowanych filmów, a nawet piosenek edukacyjnych dla dzieci. Z piosenkami to tak wyszło, że pochylają się nad tymi, którym nie jest łatwo: jednego nie stać na komputer, inny walczy z ciężką chorobą, a jeszcze inna postać skutecznie konkuruje o matematyczne trofea, będąc wychowankiem domu dziecka. Jest też piosenka o niełatwym zawodzie nauczyciela, o tym jak strudzony rokiem szkolnym uczeń z radością wita wakacje i jak gry komputerowe niekiedy nas wspierają, a czasem kompletnie degenerują. Napisałem również kilkanaście opowiadań do czasopism kobiecych, których wspólną cechą była nutka delikatnego romantyzmu. Przyjęto jedno. Popelniłem też powieść obyczajową rozgrywająca się w PRL-u, a skoncentrowaną wokół trudów dorastania i poważnego konfliktu z ojcem.

Dlaczego zdecydował się Pan, żeby studiować akurat informatykę?

Jak już mówiłem, interesowałem się elektroniką, która to nazwa za moich licealnych czasów zastępowała archaiczną radiotechnikę. Komputery to były wtedy najbardziej nowoczesne i złożone, a jednocześnie tajemnicze, wobec braku literatury, urządzenia elektroniczne. W liceum razem z kolegami działałem w Młodzieżowym Towarzystwie Przyjaciół Nauk, które zatrudniało wykładowców z Politechniki, aby nam wykładali podstawy elektroniki i automatyki. Głównie opowiadali o technice cyfrowej, na której bazują komputery. Jednak nawet oni nie używali nazwy „informatyka”. Dopiero kiedy wziąłem udział w „drzwiach otwartych” na politechnice, na trzy miesiące przed maturą usłyszałem o kierunku informatyka jako nowości na tej uczelni. Kiedy wiedziony ciekawością, poszedłem zwiedzać informatyczne laboratoria, zorientowałem się, że jest to coś dla mnie. Na pierwszym roku dowiedziałem się, że uczniowie „Ósemki” mieli już możliwość pracy na komputerze Odra, więc szybko postanowiłem nadrobić zaległości i wystarałem się o tzw. kartę użytkownika komputera, dzięki której można było za darmo korzystać z komputera politechniki. Nie tylko, że nadrobiłem zaległości, ale zostałem liderem najlepiej radzącym sobie z programowaniem, nawet jak trzeba było kodować na nic niemówiących bitach.

Często podczas pracy ze studentami porównuje Pan Doktor aktualny poziomy trudności studiów z tym, co było, kiedy Pan się kształcił?

Teraz każdy ma własny komputer i jest przyzwyczajony do tego, że wystarczy „kliknięcie”, aby sprawdzić czy program działa, a gdy ja studiowałem, napisane przeze mnie programy spisywałem na kartce, oddawałem do zakodowania na kartach perforowanych albo robiłem to sam i dostawałem po tygodniu wydruk z listą błędów, bo te popełnia każdy, a mistrzowie tylko szybko je usuwają. Mimo wszystko uważam, że uczelnie od absolwentów szkół średnich wymagają więcej niż dawniej. Kiedyś nie można oczekiwać od studentów pierwszego roku jakiegokolwiek wiedzy na temat komputerów, ponieważ nie były one tak dostępne. Dziś oczekujemy od osoby, która zaczyna studia znajomości podstaw programowania. Chociaż jeszcze zbyt często spotyka nas zawód, bo informatycy mają

intratniejsze oferty niż uczenie w szkołach, więc nie we wszystkich liceach jest programowanie.

Czy pańskie narzędzie pracy, czyli komputer, jest dobrem dla świata?

Wszystko zależy od tego, w jaki sposób komputery i Internet się wykorzystuje. Wynalezienie komputera było wielkim przełomem dla ludzkości i uważam, że jest to duże dobro dla ludzi, ale niestety komputery są często wykorzystywane do złych celów. Sądzę, że w szkołach oraz mediach za mało wspomina się o skutkach zbyt częstego przesiadywania w wirtualnej rzeczywistości. Reasumując, komputery są dobre, tylko ludzie niedostatecznie wyedukowani.

Rozmawiała Alicja Nochowicz